Rok 1936. 5 lipca Nr. 27.

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

WAKACJE.

Zamknęła nareszcie szkoła swe wrota szerokie, natomiast otwarły wszystkie swoje bramy upragnione wakacje.

Jest to chwila, o której dziatwa i młodzież wszystkich cywilizowanych krajów na świecie przez długi rok myśli, marzy lub wspomina.

Niewielka tylko liczba, tak zwanych „leniuchów" i „darmozjadów", którzy woleli przez cały rok baraszkować, zamiast się uczyć, ma teraz miny niezbyt wesołe i zadowolone. Ale i dla nich znajdzie się zwykle jakaś choćby ciasna furteczka, przez którą, dzięki pobłażliwości rodziców, wymkną się w świat szeroki, a niecierpliwie wyczekiwany, noszący radosną nazwę **wakacyj**.

Bo w słowie „wakacje" mieści się wszystko: i wyjazd z dusznego miasta, porzucenie zadręczanych przez cały rok książek i zeszytów, i podróż dalsza czy bliższa na wieś, w góry, nad morze — do cioci, babci, stryjcia, lub właśnie do rodziców, gdy się ich opuściło dla nauki



w mieście, wreszcie wycieczki w nieznane okolice, kąpiele, pływanie, łódkowanie i t. d. i t. d., bo trudno spamiętać, jak się tam nazywają one wszystkie wakacyjne przyjemności, jakich doznaje szczęśliwa młodzież szkolna.

Bardzo jednak wielka część tej młodzieży, żyjącej w miastach, choćby jak najlepiej ukończyła naukę i najpiękniejsze otrzymała świadectwo, — nigdy nie zaznałaby szczęścia wakacyj, gdyby nie myśleli o niej ludzie, którzy pragną jak najwięcej zdrowia i sił przysporzyć młodemu pokoleniu. Dla takiej młodzieży urządzane są w najzdrowszych okolicach kolonje i obozy, w których spędza ona kilka tygodni pod opieką kierowników, czy nauczycieli i gdzie zdrowo, miło i pożytecznie zbiegają jej miesiące lata. Należy więc ta grupa również do tych z młodzieży, którym wakacje otwarły swoje przybytki.

Jest i trzecia grupa wakacyjnych dzieci i właśnie takie przedstawia nasza rycina. Są to dzieci polskie, żyjące poza granicami swej Ojczyzny, o których jednak też pamięta społeczeństwo. — Właśnie na czas wakacyj sprowadza je do kraju, by rozniecić w nich przygasłe często poczucie polskości, dać im poznać piękność ziemi ojczystej i wreszcie dla przypomnienia sobie mowy rodzinnej, którą, żyjąc wśród obcego narodu, coraz bardziej zapominają lub okrutnie kaleczą.

Corocznie przyjeżdżają teraz do Polski dzieci przedewszystkiem z Niemiec, gdyż tam najłatwiej zatracają one swoje polskie serce. Bardzo często zdarza się, że dopiero na takiej kolonji w ojczystym kraju biedne dziecko polskie z powrotem odmawiać zaczyna codzienny pacierz w mowie swoich przodków, naginając z trudem język do polskich wyrazów. Niestety, za krótko trwa pobyt w kraju i u wielu wraca znowu później na usta niemiecki „Vater unser“ zamiast słodkiego swojskiego „O j c z e nasz“...

Dzieci na naszej rycinie — to właśnie dzieci z niemieckiej **obczyzny**, spędzające wakacje w swej polskiej **Ojczyźnie**. Wybrano dla nich uroczą miejscowość: Wisłę na Śląsku Cieszyńskim. Tam, pod strażą Baraniej góry, u której stóp bierze początek królowa naszych rzek, Wisła, w uzdrawiającem powietrzu szpilkowych lasów, wśród pól i łąk, naborą w piersi tyle zdrowego powietrza prastarego Śląska piastowskiego, że im już potem szkodzić może nie będzie wrogie zawsze dla dusz polskich tchnienie niemieckie.

Dziecięca niewinność.

Przytoczymy tu z warszawskiego pisma apostolskiego dla dzieci i młodzieży króciutkie opowiadanie, które wykazuje, jak wielką nieraz bywa w sercach dziecięcych miłość ku Panu Jezusowi — tak, że nawet w nieodpowiednich do tego chwilach, nie mogąc się pomieścić, wybucha, jak płomień nazewnątrz. Wyróść ona jednak musi koniecznie z przeczystej niewinności serca.

W pewnem wielkiem mieście fabrycznem, pomiędzy dziećmi, przygotowującemi się do pierwszej Komunji św. znajdowała się mała 6½ letnia dziewczynka, którą z powodu jej wielkiej bystrości umysłu, wybrał ks. proboszcz do odczytania w kościele, w imieniu swych rówieśniczek, aktu poświęcenia.

„Mój Jezu Kochany — rozpoczęła, — żałuję z całej duszy, że Cię dotychczas nie kochałam ...“

Tu zatrzymała się na chwilę, a potem, odwróciwszy się do klęczącej matki, zawołała:

„Nie, mamusiu, to nieprawda ... Ty wiesz przecież, że ja zawsze kochałam Pana Jezusa!“ — poczem dokończyła już spokojnie rozpoczęty akt.

Jakże wielką — powtórzymy za owem pismem — musiała być niewinność tej małej dziewczynki, skoro mogła odezwać się w ten sposób w kościele i to w takim momencie.

Należałoby pragnąć, aby jak najwięcej dzieci w chwili przyjmowania Pana Jezusa do swego serca mogło powiedzieć, jak owa dziewczynka, że kochały Go i kochać będą zawsze.

Tajemnice głębin morskich.

(Dokończenie)

Na sygnał alarmowy wydobyto go natychmiast na okręt.

Nazajutrz wrzucono do morza specjalną przynętę dla rekinów w znacznem oddaleniu od zatopionej „Lusitanji", by w ten sposób ułatwić nurkowi pracę. Gdy spuścił się ponownie w głębinę, nie zastał tam, jak poprzednio, całej gromady żarłaczy, ale jeden olbrzymi czuwał w pobliżu statku, jakgdyby na straży. Na widok nurka popłynął natychmiast do oddalonego stada i zwabił go z powrotem. Nurka musiano ponownie wyciągnąć na powierzchnię.

Powtarzano tę próbę w ciągu kilkunastu dni, lecz zawsze nurek zastawał w pobliżu statku jednego albo dwa rekiny na czatach i za każdym razem potwory te zwabiały natychmiast oddaloną gromadę swych towarzyszów, uniemożliwiając nurkowi pracę.

Wreszcie, kiedy już mowa o podwodnej pracy nurków, trzeba wiedzieć, że jest ona bardzo rozmaita i w niektórych wypadkach wymaga ludzi niesłychanie zręcznych i doświadczonych.

Przy budowie w morzu n. p. tam nie mogą zajść najmniejsze niedokładności. Razu pewnego pracował jeden z nurków angielskich w głębokości przeszło 125 m. przy montowaniu tamy z niesłychanie ciężkich brył kamiennych (każda bryła ważyła 40 ton, a tonna posiada tysiąc kilogramów). Robotnicy na statku o każdej spuszczanej bryle mieli zawczasu dawać znać nurkowi.

Nagle zauważył on, że wkoło niego roztoczyła się jakaś niezwykła ciemność. Spojrzał w górę i z największem przerażeniem spostrzegł, iż jedna z tych olbrzymich brył sunie prosto na niego. Z szybkością, na jaką mu tylko pozwalał ciężki i niezgrabny ubiór nurka, usunął się w bok, ale mimo to dotknęła go jeszcze kamienna bryła, gdy już sięgała dna.

Do każdej jednak pracy człowiek się przyzwyczaja i nawet umie ją pokochać. To też i ten nurek, o którym mowa, mimo, iż liczy obecnie 75 lat, podobno miewa jeszcze ochotę do zapuszczania się w głębiny morskie, a nawet niedawno temu nurkował w potężnej rzece angielskiej, Tamizie.

Wszędzie bowiem sięga i wszystko zdobywa na ziemi zwycięzki umysł człowieka.

K. P.

Antoś Palica.

Obrazek z życia. Napisał Bronisław Mazowiecki.

(Ciąg dalszy).

Chociaż jeszcze do zachodu słońca było sporo czasu, prześladować zaczęła chłopców myśl o noclegu. Gdzie znajdą gościnę, jak przenocują, czy spotka ich dobre przyjęcie wśród obcych ludzi, nad tem rozmyślali, jadąc przy sobie ze spuszczonemi głowami, jakgdyby naraz pierzchła gdzieś wczorajsza pewność siebie i jakgdyby nic nie zostało w nich obu z wczorajszego zapału.

Właśnie zobaczyli zdaleka piękny dwór w otoczeniu starego parku, gdy

na gościńcu zrównał się z nimi wracający konno z poczty parobek.

Zagadnęli go, czy państwo w domu?

— Niby nasi państwo? — pytał gapa.

— A o czyich byśmy pytali ciebie, jak nie o twoich?

— Bo nie wiedziałem, czy to idzie o pana z panią, czy o samych paniczów i panienkę.

— No więc, któż jest w domu?

— Ano, państwo pojechali, jeszcze nie wrócili.

— A prędko mają wrócić?

— Niewiadomo. Angielka mówiła do lokaja, że w niedzielę.

— Co za Angielka?

— Ano, rozumie się, nasza guwernantka, co się w domu z pańskiemi dziećmi została.

Młodzi podróżni podcięli konie, uciekając jak najdalej od majątku, w którym żyła nieprzyjaciółka Burów.

Było już po zachodzie słońca, gdy u wjazdu do innego dworu, wyglądającego skromniej, niż poprzedni, zaczęli znowu pytaniami zasypywać ludzi, powracających z roboty na wieczerzę.

Ale jakoś nie mogli się niczego dowiedzieć, bo jedni, niby zdziczali, uciekali na ich widok, inni nie rozumieli, o co ich pytano. Dość, że niczego się nie dowiedziawszy, chłopcy zbliżyli się aż pod parkan, za którym widać było duży, okrągły trawnik, obwiedziony szeroką, żwirowaną drogą, wiodącą pod same filarki, które podpierały z frontu staroświecki biały dworek.

Główna brama w wysokich sztachetach była uchylona, a przy niej, między strzelistemi topolami, stało kilkoro ludzi z dworskiej czeladzi, przyglądając się ciekawie młodziutkim podróżnym na wspaniałych wierzchowcach.

— Aleście może słyszeli — pytał ich Antoś Palica, nie mogąc się w żaden sposób dogadać, — czy wasz pan trzyma z Burami, czy z Anglikami.

Dziewczęta zaniosły się od śmiechu i kryły twarze w fartuszki, gdy jeden z mężczyzn, skrobiąc się po głowie, tłumaczył:

— Kiej u nas nijakich Anglików niema.

— Ależ tam na wojnie — wyjaśniał Wacek — może słyszycie, czy wasz pan jest po angielskiej stronie...

— Przecież nasz pan w domu — zapewniał jeden, gdy drugi się dziwił:

— To jest jaka wojna?... Nie daj Boże, ma być u nas?

— Gdzie tam u nas... my wam mówimy o Burach.

Dziewczęta, nie mogąc wytrzymać ze śmiechu, uciekły, a mężczyźni zaczęli uważniej przypatrywać się nieznajomym, powątpiewając, czy chłopcy mówią do rzeczy.

— A niby, co to ma być te bure?

— Bo u nas są dwa koty bure, a u ekonoma jest pies Burek.

— To znowu nie wiemy, o kogo się panicze pytają, jako, że naszemu panu nic do kotów.

Antoś złamał w palcach z wściekłości gałązkę, a Wacek z rozpaczy nie wiedział, czy się gniewać, czy płakać.

Im obu poprostu w głowie się pomieścić nie mogło, by wtedy, gdy żaden z nich nie mógł o niczem innem myśleć, ni mówić, znalazł się ktoś, kto nie wiedział nic o Burach, komu nawet ta nazwa była obcą, niesłyszaną.

Już mieli się odezwać, zniecierpliwieni podobnemi odpowiedziami, gdy naraz rozmawiająca z nimi służba dworska, zdjąwszy czapki, zaczęła się w tył cofać.

To z poza stodoły, dróżką od pola, szedł wprost na nich, wysoki, chudy mężczyzna w słomkowym kapeluszu, kryjącym czarną czuprynę. Na ogorzałej jego twarzy rysował się gruby wąs, dobrze już szpakowaty. z pod zmarszczonego czoła i ciemnych brwi krzaczastych patrzały bystre duże oczy o spojrzeniu surowem.

Ciąg dalszy nastąpi).